
WOJCIECH PASTURSKI
KONIE, ADIUTANCI, FASZYŚCI
BookEdit

KONIE, ADIUTANCI, FASZYŚCI

WOJCIECH PASTURSKI

KONIE, ADIUTANCI, FASZYŚCI

BookEdit

Copyright © Wojciech Pasturski, 2021

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka

Ilustracje na okładce: © Olga Żukowska, Herbert Aust/Pixabay, Jean/Pixabay

Redakcja: Anna Kielan

Korekta: ERATO

DTP: JENA

ISBN 978-83-66995-02-4

Wydawca
BookEdit
tel. 512 087 075
e-mail: redakcja@bookedit.pl
www.bookedit.pl
facebook.pl/BookEditpl
instagram.pl/bookedit.pl

Książka powstała na kanwie wydarzeń historycznych. Postaci i wydarzenia w niej przedstawione są jednak dziełem fikcyjnym. Ku pamięci anonimowych bohaterów wojennej codzienności, którzy tworzyli historię naszych ziem. Nigdy więcej wojny!

Część pierwsza

ROZDZIAŁ 1

Papieros przygasał w popielniczce. Patrzył w osłupieniu, jak żar dogasa, po czym przekręcił gałkę odpowiedzialną za dźwięk. Kończyło się właśnie przemówienie jego Führera: „Dlatego jestem przekonany – jest to moje głębokie przekonanie – że ta konkretna wojna wzmocni ideę narodowego socjalizmu w siłach zbrojnych oraz że gdy wygramy tę wojnę, to stanie się tak dzięki temu nowemu kształceniu narodu i dzięki nowym niemieckim siłom zbrojnym; oraz że dlatego musimy podążać za jednym tylko celem: by wzmocnić ogół narodu, uczynić go twardym, aż w końcu stanie się nie do zniszczenia, by wypełnić przeznaczoną dla niego rolę w Europie. Nie może być wątpliwości co do jednego: albo przegramy tę wojnę – a to stanowiłoby koniec naszego narodu – albo wyjdziemy z niej zwycięsko – i tak się stanie! To będzie początek naszego panowania nad Europą”*.

Po ostatnim słowie cicho powiedział „Heil”. Cała ta idea narodowego socjalizmu była dziwna i niezrozumiała. Mimo to wierzył, że jest dobra i ma moc zbawczą dla zepsutego żydowską zarazą kraju.

---

* Fragment przemówienia Adolfa Hitlera wygłoszonego w Platterhof 26 maja 1944, http://www.monio.info/?s=Dlatego+jestem+przekonany+%E2%80%93+jest+to+moje+g%C5%82%C4%99bokie+przekonanie [dostęp 21 VIII 2021]

W końcu takie wybawienie przyniósł im Führer po kryzysie, jaki nastał po pierwszej wojnie światowej. Chociaż on jako potomek starego pruskiego rodu wychowywał się i właściwie spędził całe swoje trzydziestoletnie życie w rodowym dworku w Kaltenborn w Prusach Wschodnich. Dlatego sprawy polityki centralnych Niemiec były mu obce i niezrozumiałe. Z tych przemyśleń wyrwał go blask światła słonecznego wpadającego przez lekko uchylone okno. Podszedł do niego.

Z okna był widok na dużą część jego rodzinnej miejscowości. Kaltenborn była spokojną i zupełnie pospolitą miejscowością, jakich wiele na kresach. Nie było w niej nic specjalnie ciekawego oprócz dworku rodziny Von Himmelsteinów położonego w centralnym punkcie. Dworek był kompleksem dwóch stodół (małej i dużej), zbudowanych z dębowego drewna, pomalowanych czarną farbą, i dużej stajni ze starej pruskiej cegły. Ale nie była to stajnia byle jaka, tak samo jak przebywające w niej konie. Wewnątrz znajdowało się dziesięć przestronnych boksów obitych sosnowymi deskami. W każdym boksie żłoby wylano betonem, dzięki temu były o wiele bardziej praktyczne niż ich drewniane odpowiedniki.

Von Himmelsteinowie słynęli z hodowli wspaniałych wierzchowców, głównie trakenów. Lecz przez wojnę cały inwentarz Himmelsteinów mocno zubożał. Ojciec Ignaza, który głównie zajmował się końmi, poległ na początku pierwszej wojny światowej w bitwie pod Tannenbergiem. Ignaz miał wtedy cztery lata, nie bardzo pamiętał ojca, ale odziedziczył po nim miłość do koni. Jego matka zmarła na grypę w trzydziestym ósmym roku, i został sam z całym rodowym dobytkiem.

Teraz Ignaz miał zaledwie trzy konie. Umkehrena – dwunastoletniego bułanego wałacha szlachetnej półkrwi, Szmera – ośmioletniego karego trakena, i istną perłę jego stajni, zaledwie pięcioletnią klacz Adonai. Był to przepiękny siwy koń. Klacz miała iście fantazyjny chód, jakby lekko podskakiwała na każdym kroku, co dodawało

jej niesamowitej gracji. Jej szyja była wręcz łabędzia, dzięki czemu w ustawieniu pod ręką porządnego jeźdźca bił od niej niezwykły glamour. Mimo że wyglądała na delikatną, niemal kruchą, była utalentowanym skoczkiem o niespotykanej kondycji. Warunki te zawdzięczała zapewne pochodzeniu, a dokładnie ojcu Alchimistowi, który wśród wielu wspaniałych osiągnięć mógł się pochwalić zwycięstwem na olimpiadzie w Berlinie w skokach przez przeszkody.

Adonai była siwa niczym wypolerowana stal i miała czarną skarpetkę na każdej nodze. Ignaz dostał ją od stryja, który również zajmował się hodowlą, ale na o wiele większą skalę. Ignaz kochał tego konia bardziej niż cokolwiek w życiu i poświęcał mu większość czasu, mknąc na nim po pięknej pruskiej, starej puszczy lub trenując skoki. Był nawet niezłym jeźdźcem. Na koniu nauczył się jeździć u swojego przyjaciela z centralnych Niemiec, Wernera Von Kasserlinga, który w tamtych czasach chciał zostać sportowcem. Ich drogi szybko się rozeszły, gdyż Werner wbrew swej woli, a ku uciesze ojca wyjechał przyuczać się szlifu wojskowego do szkoły piechoty w Dreźnie.

W stajni Ignaza stał też jeden koń rasy śląskiej, należał do rodziny biednych rolników. Trzymał go u siebie z litości.

Ignaz wyszedł na ganek swojej leśniczówki. Dochodziło południe. Tego dnia było wyjątkowo ciepłe, zważywszy na to, że zaczynała się jesień. Usiadł w fotelu, wyciągnął papierośnicę i wziął ze stolika gazetę. Odpalił papierosa i zaczął czytać nagłówki artykułów. Zainteresował go jeden „Wielki postęp naszej armii!!!". Otworzył na stronie poświęconej temu zagadnieniu i zatopił się w lekturze. „Kolejne zwycięstwo!!! Bohatersko broniąca się w Tainie Grupa Armii Północ odrzuciła bolszewików w nieubłaganym i miażdżącym kontrataku. Po tak druzgoczącej porażce Rosjanie będą musieli wycofać się, aby…"

– Co nowego? – Ignazowi czytanie przerwał Albert, stajenny, który pracował jeszcze u jego ojca.

– Kolejne zwycięstwa – odpowiedział Ignaz, odkładając gazetę i podsuwając krzesło Albertowi. – Tym razem w Tainie.

– No jak tak dalej będzie szło, to wojna może niedługo się skończy – powiedział z przekąsem stajenny.

– Co masz na myśli? – zapytał zirytowany Ignaz.

– Nie chciałem pana urazić. No, ale niedawno wrócił z frontu syn Bergów i opowiadał, że nie idzie nam aż tak dobrze, jak pan mówi.

– Rozpowiada głupoty, żeby wszyscy myśleli, że tak mu tam było ciężko. Myślisz, że nie odniesiemy ostatecznego zwycięstwa?!

– Oj, nie chciałem tak tego powiedzieć. A zresztą co mnie to obchodzi, jestem tylko prostym chłopem – zaczął się tłumaczyć Albert. Często rozmawiał o wojnie z Ignazem i zawsze rozmowa szybko ucinała się w tym samym momencie, chociaż Albert wiedział, że jego pan też często ma wątpliwości co do postępów niemieckich wojsk.

– Coś chyba jest nie tak z Umkehrenem – powiedział Albert, chcąc zmienić szybko temat.

– A co się stało?

– Schudł. Nie chce jeść i wyraźnie zmatowiała mu sierść.

– No dobra, przyprowadź go. Zaraz przyjdę do stajni.

Po tych słowach Ignaz wrócił do domu. Założył wiązane sztyblety i poszedł obejrzeć konia. Albert już czekał na środku gospodarstwa. Rosło tam jedno drzewo, stara potężna sosna, do której przywiązał konia. Umkehren był koniem o mocnym zadzie i dużym, ale kształtnym łbie. Ignaz uwielbiał lekkość, z jaką ten koń skakał przez przeszkody i jego niezwykle wygodny galop, w którym był niesamowicie intuicyjny i świetnie zgrywał się nawet z niedoświadczonym jeźdźcem. Zazwyczaj, głównie dzięki pracy Alberta,

Umkehren wyglądał niezwykle okazale i zdrowo, co przejawiało się między innymi błyszczącą sierścią. Teraz jednak koń był osowiały i nie lśnił tak jak zazwyczaj.

– No rzeczywiście coś jest nie tak. Od razu widać – zaczął Ignaz.

– Może to kolka? – zapytał Albert.

– Chyba nie – odpowiedział Ignaz, odsuwając ucho od brzucha konia. – Zaraz pójdę po owies.

Po tych słowach poszedł do stajni. Kiedy zaczął nasypywać owies do wiadra, usłyszał dźwięk silnika. Zaciekawiony wziął wiaderko i wyszedł na zewnątrz. Przy bramie wjazdowej, jakieś 50 metrów od stajni, zaparkował czarny mercedes, z którego wysiadł mężczyzna w średnim wieku w wojskowej marynarce i furażerce. Oparł się o drzwi i zapalił papierosa. Z drzwi obok wyłonił się wysoki barczysty facet. Był gładko ogolony, miał niebieskie oczy i niewielką, acz zauważalną, bliznę pociągniętą przez brew. Ubrany w elegancki płaszcz, oficerki i oficerską czapkę Wehrmachtu pewnym krokiem wszedł na podwórko i z daleka zakrzyknął:

– Zastałem młodego Himmelsteina?

Ignaz przez chwilę zastanawiał się, kim jest ów tajemniczy mężczyzna, gdy nagle rozpoznał w nim swojego starego, dobrego przyjaciela.

– Werner! – krzyknął Ignaz. Podszedł do gościa, po czym rzucili się sobie w ramiona.

– Ile to już lat?

– Pięć? Sześć? Kto to pamięta?

– Opowiadaj, co u ciebie. Widzę, że awansowałeś.

– Od początku wojny trudno by było nie awansować. Ale co ja widzę, koń. – Na twarzy Wernera pojawił się uśmiech jak u małego dziecka. On kochał konie chyba jeszcze bardziej niż Ignaz i gdyby nie ojciec dziś byłby pewnie gwiazdą niemieckiej hippiki. – Ma wrzody żołądka. Przez tydzień dawajcie mu mesz, powinno przejść.

O ile za tydzień nie będzie tu już Sowietów – zaopiniował Werner po kilkusekundowych oględzinach, a ostatnie słowa dodał szeptem.

– Co proszę? – zapytał Ignaz.

– A nic, taki żart.

– Albercie, pamiętasz Wernera? – zapytał radosny Ignaz.

– Pewnie. Jeszcze przed wojną przyjeżdżał pan non stop. Pamiętam, jak kiedyś pojechaliście w teren… Pan na koniu matki pana Ignaza. Ale była afera!

– Warto było.

– To był piękny koń.

– Oj tak!

– Ale właściwie czemu przyjechałeś? Mogłeś się zapowiedzieć, przygotowałbym się.

Po tych słowach z twarzy Wernera zniknął uśmiech. Popatrzył na Ignaza wyjątkowo przeszywającym spojrzeniem.

– Jeszcze trzy dni temu sam nie wiedziałem, że tu będę.

– To co cię tu sprowadza?

– Jestem tu służbowo, Ignazie.

– Jak to służbowo? – zapytał zmieszany.

– Porozmawiamy o tym później – odpowiedział Werner, wymownie wskazując głową Alberta, który czyszcząc Umkehrena, przysłuchiwał się rozmowie.

– W takim razie zostań na obiedzie.

– Chętnie.

– Odprowadź go, Albercie – polecił Ignaz.

– I zrób mu wieczorem mesz – dodał Werner, po czym obaj ruszyli do domu.

W czasie kiedy – jak się okazało – adiutant Wernera przenosił jego rzeczy do pokoju gościnnego, Ignaz przebierał się do obiadu, myśląc nad powodem tak nagłej i niespodziewanej wizyty. Zastanawiał się przede wszystkim, dlaczego Werner przyjechał

w mundurze i co on sam może mieć wspólnego ze „służbowymi sprawami" Wehrmachtu.

Obiady przygotowywała Hilda, kucharka, która również pracowała jeszcze u rodziców Ignaza. Tym razem były to steki z jelenia podane na purée z ziemniaków. Usiedli do stołu około godziny piętnastej. Ignaz, Werner i jego adiutant.

– Długo zostaniesz, Wernerze? – spytał Ignaz.

– Jeszcze nie wiem. – Werner spojrzał porozumiewawczo na adiutanta, po czym pewnym głosem zaczął mówić: – Jak już wspominałem, jestem tu służbowo. Aktualnie mam pod komendą część pierwszej dywizji pancernej. Walczymy na Ukrainie. Właściwie to walczyliśmy, bo trzy dni temu znów ruszyła ruska ofensywa i tak szybko, jak rozłożyliśmy się na pozycjach, tak szybko musieliśmy z nich spierdalać. Pół biedy te pozycje i tak planowaliśmy wycofać się do Prus, ale w planach mieliśmy to o wiele później, rzecz jasna. Najgorzej, że nasi ludzie zostali na tyle zaskoczeni, iż praktycznie po dwóch dniach doszli do Brzozowa. Takiej wiochy, gdzie stacjonował sztab. Oczywiście sztab się wycofał, nasze oddziały w dużej części też. Musieliśmy znaleźć nową siedzibę dla sztabu. Jako że i tak mieliśmy się cofnąć do Prus, zaproponowałem twój dworek. Zrozumiem, jeżeli odmówisz. Jakby co, jest jeszcze jakiś hotel, który możemy zająć w Neidenburgu. – Werner skończył z wyraźną ulgą i odpalił papierosa.

Nastała cisza. Ignaz zupełnie zbity z pantałyku zapytał.

– A Mamerki? Chociażby Kętrzyn? Przecież tam są miejsca przygotowane specjalnie dla sztabów?

– W Mamerkach nie mieliby dla nas miejsca, a Wilczy Szaniec to prywatna kwatera Führera, nikt by nie śmiał… – wytłumaczył milczący dotąd adiutant.

– Posłuchaj, Ignaz. Rozumiem, że jesteś zaskoczony, ale muszę dostać odpowiedź jeszcze dzisiaj.

– Ile byście potrzebowali miejsca?

– Siedem pokoi i jeszcze jakieś kwatery dla obsługi.

– Muszę to przemyśleć – powiedział Ignaz, po czym wstał z krzesła i wyszedł na ganek. Włożył papierosa do ust, zastanawiając się nad tym. Dlaczego akurat on? Dlaczego teraz? Nagle z osłupienia wyrwał go błysk ognia. To Werner podsunął mu zapalniczkę.

– Powiedz wprost, co o tym myślisz?

– Werner, nic nie rozumiem. Jak to się cofacie? W gazetach, w radiu ciągle mówią, że wygrywamy. Wojna w Prusach Wschodnich? Posłuchaj, jak to brzmi! – Ignaz niemal się rozpłakał.

Na to Werner odpowiedział z lekkim uśmiechem na twarzy.

– Naprawdę wierzysz w tę całą propagandę? – Te słowa bardzo zdziwiły Ignaza. – Gdyby nie pogoda, dwa lata temu Moskwa byłaby już Niemiecka. Sam wiesz, obaj walczyliśmy wtedy na wschodzie. Zwycięstwo było na wyciągnięcie ręki. Powiem ci coś i tylko tobie. Poświęciliśmy Rzeszę na ołtarzu utopijnych wizji chorego człowieka.

– Jakiego?! – zapytał zrozpaczony Ignaz.

W tej jednej chwili poczuł, jak przeszywa go nieznośne uczucie wątpliwości, które próbował zagłuszać przez ostatnie lata. Zaraz potem naszła go myśl, że to przekonanie tchórzy, którzy nie wierzyli w Tysiącletnią Rzeszę i Führera.

– Nie wierzysz w ostateczne zwycięstwo? – dodał szeptem Ignaz.

Werner, widząc rozpacz na jego twarzy, uznał, że to popołudnie przyniosło jego gospodarzowi wystarczająco dużo wrażeń, więc odpowiedział.

– Wierzę, Ignazie, wierzę…

Zaczynało się robić ciemno. Werner wyrzucił papierosa na ziemię i przygniótł go butem, pod którego ciężarem żar beznadziejnie próbował się utrzymać, z góry skazany na wygaśnięcie.

ROZDZIAŁ 2

Następnego dnia przy śniadaniu przyjaciele postanowili, że wczorajsza rozmowa pójdzie w niepamięć, jako że mieli spędzić ze sobą dużo czasu, gdyż Ignaz przystał na prośbę Wernera. Początkowo martwił się, czy uda mu się wygospodarować tak wiele pomieszczeń, o których wspominał Werner. Po niewielkim przemeblowaniu udało się zorganizować siedem pokoi. Szczerze powiedziawszy, nie był to problem, bo pałacyk Von Himmelsteinów był dość spory i nie licząc pokoi Ignaza i służby, które znajdowały się w piwnicach, większość domu stała pusta.

– To kiedy będą ci twoi dowódcy? – zapytał Ignaz w czasie oprowadzania Wernera po stajni i pokazywania mu koni.

– Hans wysłał depeszę do sztabu przejściowego w Bukowcu. Niektórzy dotrą już dziś wieczorem. Masz sporo wolnych boksów – zauważył Werner.

– Nie miałbym czasu na ogarnianie większej liczby koni. A co?

– Nasz dowódca, Wilhelm Bewar, ma ogiera, takiego tam trakena. No i zawsze chce go mieć blisko siebie. Dotychczas znajdywał jakieś stajnie na uboczu, byle niedaleko sztabu. Nie będziesz miał nic przeciwko, jak go tutaj przywiezie?

– A mam jakiś wybór? – zapytał z uśmiechem Ignaz.

– Oczywiście, że masz, najwyżej rozkażę cię rozstrzelać za nieudzielenie pomocy służbom wojskowym – odpowiedział żartem Werner. – Ale pokaż już tę swoją klacz.

– Pewnie jest na pastwisku.

Pastwisko było oddalone od gospodarstwa o niecały kilometr. Była to duża pagórkowata łąka otoczona zewsząd lasem. Od stajni prowadziła do niej piękna aleja starych jak sam las dębów. O tej porze roku była zasłana złoto-zielonym dywanem z liści i wyglądał wyjątkowo pięknie i majestatycznie. Wszystkie te widoki pozwalały Wernerowi oderwać się choć na chwilę od myślenia o wojnie.

Konie na widok nadchodzących mężczyzn podniosły z zaciekawieniem łby. Stały przez chwilę w bezruchu, po czym Adonai pogalopowała w ich stronę, rozpoznając Ignaza.

– Hej piękna – powiedział Ignaz, przechodząc pod ogrodzeniem.

– A więc to ona. – Werner dał się zupełnie oczarować dostojeństwem i urodą tego konia. Od razu zwrócił uwagę na mocny zad, który musiał dodawać niesamowitej dynamiki przy wyskoku, a także umięśnione nogi pozwalające zapewne na długie niezmordowane galopy. Jego marzeniem stało się, aby móc dosiąść ten istny cud kreacji gatunku konia.

– Robi wrażenie, nie?

– Zdecydowanie. Kiedy dasz mi na niej pojeździć?

– Pojeździć? Na niej? Powiem ci tak: spierdalaj, mogę dać ci najwyżej tego ślązaka. – Ignaz wskazał na grubego konia, którego miał na przechowaniu. Który jakby wyczuwając, że o nim jest mowa, parsknął pogardliwe.

– Taki jesteś, to daj mi tego. – Werner wskazał na Szmera. – I widzimy się za piętnaście minut na placu.

Plac był duży. Ogrodzony sosnowymi barierkami i wysypany miękkim piachem. Na parkurze była ustawiona niska koperta i dwie nieco wyższe stacjonaty.

– Pamiętasz jeszcze cokolwiek? Łydka, dosiad te sprawy? – zapytał uszczypliwie Ignaz, gdy siedzieli już na koniach.

– Nie bądź taki cwany. Za chwilę parkur wszystko zweryfikuje.

– Tylko na Boga, pamiętaj, Werner, ten sznurek, który trzymasz w rękach, to wodza, skręcasz tym – dorzucił jeszcze Ignaz, po czym zakłusował.

Adonai od razu przykuła uwagę Wernera. Tym bardziej że wchodziła w kolejne chody bez wyraźnej ingerencji swojego jeźdźca, co pokazywało, jak świetnie była ułożona. Tymczasem Werner łapał coraz mocniejszy kontakt ze swoim koniem. Czuć było, że ma zwyczajnie ochotę na skoki, co bardzo mu się spodobało. Po kilku skokach przez kopertkę Ignaz zwrócił się do Alberta, który właśnie przyszedł na plac.

– Podnieś mi stacjonatę.

– Oczywiście, na ile.

– Na początku siedemdziesiąt. – Ignaz złapał mocniejszy kontakt na wodzy, tylko musnął klacz prawą łydką, a ta od razu weszła w mocny i zebrany galop. Pewnie szła na przeszkodę, skacząc z zauważalną lekkością. Po kilku skokach zarówno Ignaza, jak i Wernera gospodarz, chcąc zaimponować koledze, powiedział.

– Albercie, ustaw mi sto dwadzieścia.

Werner tylko cicho parsknął.

– Coś cię bawi?

– Chcesz przez to teraz skoczyć?

– Tak, a co?

– A nic, skacz, skacz.

Ignaz zagalopował, posyłając pogardliwe spojrzenie Wernerowi.

Klacz jak zawsze szła na przeszkodę z pełną mocą. Niestety Ignaz nie skrócił jej wystarczająco i Adonai odskoczyła o wiele wcześniej, niż spodziewał się tego jeździec. Ignaz odruchowo zrobił półsiad, co tylko pogorszyło sytuację, jako że przeleciał przez głowę swojego wierzchowca, niezwykle boleśnie lądując twarzą na ziemi.

– No to żeś mi pokazał – powiedział śmiejący się z upadku przyjaciela Werner.

– To przez ciebie. Gdybyś tak nie napierdalał rękami jak epileptyk, skoczyłbym czyściutko. A zresztą może ty zrobisz to lepiej?

Werner bez słowa odjechał kawałek. W czasie kiedy Albert złapał brykającą Adonai, Werner do przeszkody miał jakieś dwadzieścia metrów. Przeszedł do kłusa i od razu do galopu. Galopował pewnie, idealnie pracując dosiadem na potężnym trakenie. Przez te kilka chwil rozumiał się z nim lepiej niż z kimkolwiek w życiu. Gdy zbliżył się wystarczająco do przeszkody, z chirurgiczną wręcz precyzją dodał łydkę i klepnął konia palcatem w łopatkę, a następnie przeszedł do półsiadu. Wałach wyskoczył z niesamowitą dynamiką, idealnie sklejając się z jeźdźcem nad przeszkodą. Po dalekim, acz również doskonale wymierzonym lądowaniu, poprowadził Szmera w stronę drugiego oksera, który koń skoczył równie łatwo co szybko. Po drugim skoku Werner tryumfująco spojrzał na Ignaza, który dochodził do siebie, siedząc z boku.

– Nie zesraj się przypadkiem – powiedział, uprzedzając jakiś chamski tekst Wernera. – Następnym razem… – Ignaz urwał w pół słowa, patrząc na brukowaną drogę biegnącą obok placu.

Werner również spojrzał w tamtym kierunku. Zobaczył jakby czarną, nijaką chmarę, która powoli nabierała ostrości. Był to tłum ludzi idących pieszo, obładowanych swoim dobytkiem. Co jakiś czas przejeżdżała drewniana furmanka. Ludzie ci, praktycznie wszyscy, mieli taką samą grobową minę. Wszyscy ubrani w najróżniejsze szmaty. Ignazowi wydawali się jakimiś zjawami, o których opowiadała mu matka. Nagle ze ślamazarnie poruszającego się pochodu wyłamała się mała dziewczynka zainteresowana tym, co się działo na placu.

Ignaz nie mógł oderwać od niej wzroku, zastanawiając się, o czym to małe dziecko w takiej chwili mogło myśleć. Pochód

posuwał się, a dziewczynka dalej stała w bezruchu. W pewnym momencie Ignaz stwierdził, że nie patrzy ona na konie czy przeszkody, a na niego. Ta myśl zirytowała go, po czym spojrzał na siebie, był ubrany w białą koszulę z bufiastymi rękawami, brązowe bryczesy i błyszczące idealnie wypastowane oficerki. Zrozumiał, jak dziwny musiał jej się wydawać człowiek w takim stroju. Z zamyślenia wyrwał go Werner.

– Zabierz swojego konia. Wracajmy – powiedział ponuro, po czym skierował się do wyjścia.

Ignaz podszedł do Alberta i odebrał od niego Adonai. Odwrócił się jeszcze w stronę drogi, ale dziewczynki już nie było, tylko tumany kurzu.

– Werner, czy to…?

– Uchodźcy. No tak, to dosyć oczywiste.

– No, ale jak to?

Werner zbył go ponurym uśmiechem i wrócił do jazdy.

– I co, jednak pamiętam, jak się jeździ? Może dasz mi lekcję?

– A spierdalaj – odpowiedział Ignaz, dobrze wiedząc, że przyjaciel nigdy nie zapomni tego skoku.

– No co, naprawdę mógłbyś mnie czegoś nauczyć – kontynuował Werner.

– Chcesz pojechać na stęp do lasu.

– No pewnie. – Po tych słowach przyjaciele wyjechali na bitą drogę prowadzącą w głąb szmaragdowozielonego sosnowego lasu. Co jakiś czas mijali różne zwierzęta, które zaalarmowane stukotem kopyt uciekały w głąb puszczy. Niezwykle czyste powietrze przesiąknięte zapachem żywicy i igliwia dawało Wernerowi poczucie lekkości, jakiego nie miał od bardzo dawna. Po piętnastu minutach przez drzewa zaczęła przeświwitywać zielonkawoniebieska tafla jeziora. Obaj spojrzeli po sobie porozumiewawczo i natychmiast ich konie weszły w galop. Każdy chciał dojechać do jeziora pierwszy. Na

początku Adonai wystrzeliła z typowym dla niej impetem i przez chwilę prowadziła, ale już po chwili zwolniła, co dało okazję Wernerowi, który idąc teraz łeb w łeb z Ignazem, nagle wskazał na jeden punkt w lesie i krzyknął:

– O kurwa, łopata!

Ignaz zupełnie zdezorientowany obrócił wzrok w stronę pokazywaną przez przyjaciela i zorientował się, że był to niewysublimowany blef.

Werner wykorzystał ten moment i dodając łydkę, odskoczył rywalowi na kilka dobrych metrów. Na prowadzeniu nic się nie zmieniło i zanim Adonai dojechała na plażę, Szmer już galopował po płytkiej części jeziora. Ignaz wpadł na brzeg z impetem i zatrzymał konia przed wejściem do wody. Z przyjemnością patrzył, jak wiele radości sprawia przyjacielowi jazda po wodzie. Po piętnastu minutach Werner wyjechał z jeziora z uśmiechem na ustach.

– Wracamy? – zapytał, strząsając wodę z bryczesów.

– Pewnie, już czas.

– Dzięki, Ignaz.

– W porządku – odpowiedział, po czym zawrócili w stronę domu.

Gdy dojechali do dworku, zobaczyli kubelwagena stojącego obok mercedesa Wernera.

– Jakiś twój znajomy?

– Ta Erich Kassel. Większe od jego ego są chyba tylko głupoty, które pierdoli – odpowiedział z wyraźnym grymasem na twarzy Werner.

W tym momencie z bramy wyszedł niski chudy mężczyzna. Był strasznie wyżyłowany i miał dziwnie sine poliki, co nadawało mu wyjątkowo komicznego wyglądu. Na sobie miał oczywiście mundur, zaskakujący był fakt, że był to mundur galowy z orderami na piersi.

Na widok mężczyzny Ignaz zsiadł z konia.

– Pozwoliłem sobie obejrzeć okolicę. Bardzo ładny majątek. W Niemczech mam podobny, ale nieco większy.

– Witaj Erichu, to jest Ignaz Himmelstein, Ignaz, to jest…

Erich przerwał mu w pół słowa.

– Witaj Werner. To tak to wygląda? My ogarniamy odwrót, a ty tu sobie jeździsz konno. Ja kiedyś też jeździłem, nawet lepiej od ciebie, ale o czym to ja, a tak, miałem się przedstawić. Jestem Erich Kassel. – Urwał na chwilę, ewidentnie licząc, że Ignaz zareaguje na to nazwisko, jednakże widząc niewzruszenie na twarzy gospodarza, kontynuował. – Generał piechoty, wsławiony w wielu bitwach za co też wielokrotnie odznaczany. W niektórych kręgach mówi się, że od czasów Ludendorffa takiego taktyka Niemcy nie miały.

Werner parsknął śmiechem, a Ignaz chciał zrobić to samo, ale czując, że ta autoprezentacja ma być zupełnie poważna, powstrzymał się z niemałym trudem.

– Bawi cię to, Werner? Powiedz, ile ty masz orderów? – zapytał poważnie urażony Erich i jakby chcąc potwierdzić swoje słowa, poprawił marynarkę, wprawiając w ruch wszystkie medale na piersi, przez co zadzwoniły z wyraźnym hukiem.

– No, na pewno nie mam tyle co ty. Ale co najmniej z pięć tych twoich to pamiątkowe z różnych wydarzeń. Tam, wiadomo, były największe batalie tej wojny, ale… – W tym momencie miarka się przebrała, urażony generał odwrócił się na pięcie i poszedł w stronę dworku.

– Nie no, Erichu, nie obrażaj się! – krzyknął za nim Werner, to jednak nie pomogło.

– Nieźle – powiedział Ignaz, po czym podszedł do Ericha, który stał jak dziecko, próbując zaakcentować to, że jest obrażony.

Gospodarz przeprosił za Wernera, po czym zawołał Alberta, żeby z pomocą adiutanta przeniósł rzeczy Kassela do wcześniej przygotowanego pokoju.

Po odprowadzeniu koni i przebraniu się Werner z Ignazem usiedli na ganku. Paląc papierosy, napawali się ostatnimi ciepłymi powiewami tego roku.